

Fragment utworu w przekładzie

Judith Hermann

Ich möchte zurückgehen in der Zeit

S. Fischer Verlag, Frankfurt am Main 2026
ISBN 978-3-103-97764-6

Str. 9-24

Judith Hermann

Chciałabym cofnąć się w czasie

Przekład: Agata Teperek



Moja mama pamięta tatuaż pod lewą pachą swojego ojca. Po wewnętrznej stronie ramienia, wyblakły, bladoniebieski, wielkości drobnej monety. Po raz pierwszy widziała ten tatuaż, kiedy jej ojciec leżał na łożu śmierci, umierał w szpitalu, w jednoosobowej sali, mama miała wtedy dwadzieścia jeden lat i zaglądała do niego przez okrągłe okienko w drzwiach.

Tak w każdym razie mi opowiadała. Kiedyś tak opowiadała. Dziś, kiedy poruszam z nią ten temat, upiera się, że zawsze o nim wiedziała, już od dzieciństwa.

Mówi: coś sobie ubzdurzałaś z tym łożem śmierci. A już na pewno z okrągłym okienkiem w drzwiach. Ubzdurzałaś to sobie.

Wspomnienia mojej blisko osiemdziesięcioletniej mamy o jej ojcu są pełne sprzeczności i nieuporządkowane, zawsze takie były. Ten bałagan i wewnętrzne sprzeczności nie mają jednak związku z jej wiekiem. Mama w zasadzie nie знаła ojca, mojego dziadka – sama tak twierdzi, nie tak naprawdę – jej bracia zresztą znali go w równie niewielkim stopniu co ona. Dziadek zostawił rodzinę, gdy mama była młoda, umarł, zanim się urodziłam. To nie tak, że mama nie chce o nim mówić, po prostu nie wie, co powiedzieć, a domysły woli zachować dla siebie. Sama się cenzuruje, jej bracia postępują podobnie. Przeszłość dziadka w SS pozostaje tajemnicą poliszynela – niby wszyscy wiedzą, ale milczą jak zakłęci. Dziadek był zagorzałym nazistą, do tego członkiem Waffen-SS, tatuaż stanowił oznakę przynależności i informację o grupie krwi, i najwyraźniej po wojnie dziadek nie miał najmniejszego powodu, żeby się z nim rozstawać, usuwać go. Zdarzali się tacy, którzy postrzelili się w lewą rękę, dziadek do nich nie należał. On dwadzieścia lat później zabrał ze sobą do grobu to jasnoniebieskie piętno.

Oczywiście mama, moja i mojej siostry, pozostała na świecie między innymi z tym spadkiem. Wzięła na siebie dziedzictwo swojej matki i ojca, moich dziadków, niesie je, jakkolwiek bywa ciężkie, następnie przekaze je nam. Przed laty, może po rozważaniach tego rodzaju, złożyłam w archiwum wniosek o wgląd do akt i został on pozytywnie rozpatrzony. Przed pandemią. Po pięćdziesiątce, w okresie, gdy ludzie często zaczynają zgłębiać przeszłość rodziców, dziadków lub chcą się z nią zmierzyć, zdecydowanie nie jestem odosobniona w takim poszukiwaniu. Pojechałam do archiwum, zamknęłam w szafce płaszcz i torbę, wręczono mi koszyk na długopis i notes oraz teczkę z aktami dziadka. Teczka była lekka, znajdowała się w niej legitymacja członkowska SS, potwierdzenie posiadania broni i kabury, wezwanie do stawienia

się i nic więcej. Obfotografowałam dokumenty i je zwróciłam, obejrzałam wystawę w holu, potem zabrałam z szafki płaszcz i torbę. Osiemdziesięcioletnie nagrania. Głos Goebbelsa. Przerażliwie gęste, gorączkowe nucenie czegoś przez tłum. Upał. Teren wokół archiwum był wysypany żwirem, w żwirze rzeźby, które brałam za huby, ksylobionty, byłoby to jednak dość niezwykle, bo atakują one tylko chore drzewa, lecz jeśli grzyby symbolizują pamięć, to kraj, o którego pamięć tu chodzi, musi być chory.

Chory kraj.

Długo czekałam na autobus przed archiwum, z pustymi rękami wróciłam do miasta.

Brak rezultatów moich dociekań nie zrobił na mamie najmniejszego wrażenia. Nie była ani rozczarowana, ani zaskoczona. Powiedziała, że niczego innego się nie spodziewała, a kiedy spytałam dlaczego, nie udzieliła odpowiedzi. Czy to w zasadzie nie ona powinna była udać się do tego archiwum, a potem mi o tym opowiedzieć? Nigdy nie rozmawiałyśmy, dlaczego to ja tam pojechałam, nie ona. Mama tylko mimochodem wręczyła mi drewniane pudełko, rzekomo przeznaczone na pamiątki po jej ojcu. Odniosłam wrażenie, że wcale by mi go nie dała, gdybym nie wybrała się do archiwum. Jakby czekała latami – spełniłam warunek, możemy żyć dalej.

W pudełku znalazłam akt ślubu dziadków z aktem zgonu i poświadczeniem zwolnienia z alianckiej niewoli jenieckiej, *Certificate of Discharge*, obok sterty nieułożonych zdjęć, które ktoś opatrzył zapisanymi rezolutnym pismem na odwrocie miejscem i datą. Mama nie była w stanie powiązać nikogo z tym charakterem pisma. Mówiła, że go nie kojarzy, nie jest jej, nie należał też do jej matki ani do jej ojca.

Dziadek w związku gimnastycznym. Dziadek w mundurze SS. Idący wiosenną aleją i cieszący się na spotkanie z kimś. Szpaler SS ustawiony w dniu ślubu dziadków przed urzędem stanu cywilnego. Dziadek na skraju lasu między ciemnymi świerkami w zapiętym na guziki płaszczu, w wyraźnie lśniących butach i z dwuznacznym uśmiechem sztukmistrza na twarzy. Dziadek w lipcu 1941 roku na motocyklu SS w Radomiu.

Co on tam właściwie robił, w Europie Wschodniej, w Polsce, latem 1941 roku, w samym epicentrum horroru.

Zadałam to pytanie mamie, wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce. Nie wiedziała, co jej ojciec robił w Polsce. Wiedziała, że Polska była okupowana przez Niemcy, że w Radomiu istniało getto. Tyle przynajmniej już wtedy wiedziała.

Dziadek urodził się w 1904 roku w Berlinie, ojciec był nauczycielem, matka zmarła wcześniej. Miał dziesięć lat, kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, czternaście, gdy dobiegła końca.

Pobierał nauki na sprzedawcę w drogerii i ukończył je z najgorszą możliwą oceną, pracował w handlu detalicznym, zapewne sprzedawał mydło. Guziki. W 1932 roku wstąpił do NSDAP. Bez ceregieli, nic nie wskazuje, żeby wahał się choćby chwilę. Ożenił się z babcią, urodziło im się troje dzieci, dwóch synów podczas wojny, córka – moja mama – w listopadzie 1945 roku.

Przepadł.

Wrócił, po czym ostatecznie zostawił rodzinę, w połowie lat pięćdziesiątych wystąpił o rozwód. Był, jak zaznaczono na świadectwie ślubu, wyznania protestanckiego. Jestem jego pierwszą wnuczką, zmarł jednak w 1964 roku, sześć lat przed moim urodzeniem.

Tylko tyle było mi o nim wiadomo. Nic więcej nie wiedziałam.

Komentarz mamy, że coś sobie ubzdurałam na temat dziadka, nie dawał mi spokoju. Mama powiedziała „ubzdurałaś”, ale miała na myśli „zmyśliłaś”, uważała jednak, że „zmyślanie” w tym kontekście jest niestosowne i miała trochę racji. Niestosownie byłoby okraszać poważne, rodzinne sprawy takim czy innym zmyślonym szczegółem. Mogłabym powiedzieć: ale muszę zmyślać, w każdym razie częściowo zmyślać, nic innego mi nie pozostaje, musiałam zmyślić sobie dziadka, bo nic mi o nim nie mówiłaś. Zmyślając go sobie, wczuwam się w niego. A wczucie się zmniejsza dystans, którego potrzebuję, by go zobaczyć, tak mogłabym powiedzieć, swoją drogą zmyślanie to dość skomplikowane przedsięwzięcie. Dziadek, w przeciwieństwie do większości rodziny, nie ma bowiem do dyspozycji żadnego, choćby nieznacznego repertuaru literackości. Ani melancholii, ani zaburzeń neurastenicznych, ani słabości, jeśli był przesądny, zachował to dla siebie. Nie urodził się w Breslau, nie miał zezą, nie posiadał nic, co do dzisiaj byłoby dla mnie cenne i mi bliskie, za to spowijało go coś, co z dzisiejszej perspektywy wydaje się bardziej niż mroczne, tak to muszę określić. Dziadek nie jest figurą literacką. Stanowi puste miejsce, a zarazem jego przeciwieństwo, to przeraźliwy martwy punkt, którego nie mam szans wypełnić. Dziadek nie jest zmyślony, więc nie sposób go sobie zmyślić. Tkwi w świecie pomiędzy, a ja zastanawiam się, czy mogłabym powiedzieć coś takiego mamie, nieustannie głowią się nad tym, czy odkupuję jego winy, kiedy tak o nim myślę.

Dziadek to już pod każdym względem *cold case*.

Minionej zimy mama ni stąd, ni zowąd doznała tak zwanej przejściowej amnezji globalnej. Absolutnej utraty pamięci, przejściowej, ale wstrząsającej, w jednej chwili nie wiedziała nawet, kim jest. Nie wiedziała, kim my jesteśmy. Nie wiedziała też, gdzie się znajduje ani skąd pochodzi i dokąd zmierza. Przez kilka koszmarnych godzin w ogóle nic nie wiedziała i nie

sprawiała wrażenia, jakby się tym przejmowała – potem wszystko znów jej się przypomniało. Zgubiła się, ale wróciła.

Amnezja nic nie zmieniła w ogólnych zdolnościach jej pamięci. Nie pojawiły się nagle jakieś zaskakujące wspomnienia, które dotąd leżały przysypane, a te, które miała, pozostały nietknięte. Nie mogłam jednak znieść myśli, że mama jeszcze raz może stracić pamięć, że może zniknąć, a ja nie będę mogła dowiedzieć się niczego o jej ojcu, a tym samym o niej. Amnezja mamy doprowadziła do tego, że udałam się do Polski.

Jeśli nie teraz, to kiedy.

Do Radomia pojechałam w lutym. Tak się złożyło, że przypadkiem, całkowicie niezamierzenie, akurat w rocznicę śmierci dziadka, choć w żaden sposób nie celowałam z wyjazdem z ten dzień, nie wspominając o tym, że nawet nie wiedziałam; dopiero mama zwróciła na to uwagę przed odjazdem, niby mimochodem, sięgając po ton, jaki przyjmowała, gdy mówiła o swoim ojcu.

Powiedziała: jedziesz w dniu, w którym zmarł mój ojciec.

Wydało mi się to na wskroś zdumiewające, jej nie. Może starała się nie dramatyzować początku mojego wyjazdu, bo jego zakończenie pozostawało niebezpiecznie niepewne; dziś jednak sędzę, że naprawdę mało co byłoby w stanie ją zdumieć. Faktycznie więc przejechałam pociągiem przez Odrę w dniu zapisanym na akcie zgonu dziadka. Sześćdziesiąt lat po jego śmierci. Odra była zielona, po polskiej stronie wysepki, łabędzie i chaszcze, resztki śniegu pod sosnami, niebo w łupkowym kolorze, chwila i byłam już po drugiej stronie. Przesiadłam się w Warszawie, żeby wczesnym wieczorem dotrzeć do Radomia.

Radom jest położony w południowo-wschodniej Polsce. Między Warszawą a Krakowem, pomiędzy Wisłą a Górami Świętokrzyskimi, małe polskie miasto z kolegium nauczycielskim, szkołą wyższą i teatrem, jedno kino, dwa muzea, przemysł zbrojeniowy i techniki precyzyjnej. Wynajęłam mieszkanie przez internet koło dworca, naprzeciwko Katedry Opieki Najświętszej Maryi Panny, nic nie wiedziałam o Radomiu. Mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze bocznego skrzydła kamienicy, w każdych drzwiach tkwiło pięć czy sześć zamków, do tego krata, wyłącznie moje nie były zakratowane i miały tylko jeden zamek, mieszkanie wyglądało w każdym razie tak, jak opisano je w ogłoszeniu: duże, bezosobowe, przyjemnie puste. Wieczorem po przyjeździe weszłam pod biurko, żeby podłączyć komputer do prądu. Otworzyłam wszystkie okna, przestawiłam trzy krzesła i schowałam do szafy czarno-białe zdjęcia Wieży Eiffela i Ogrodów Luksemburskich.

Naczynia w aneksie kuchennym były poobijane i z przypadku, poszperałam, stanęło na zielonej filiżance i talerzu z niebieskim brzegiem. Zjadłam ostatnią kanapkę, którą zrobiłam na drogę, napiłam się gorącej wody i poszłam się położyć. Poduszka była zimna, w mieszkaniu nade mną ludzie cicho krzatali się to tu, to tam na bosaka, leżałam na plecach i nasłuchiwałam, potem zasnęłam. Gdy rano się obudziłam, na stoliku na balkonie siedziały trzy gołębie, główki schowane w piórach, nastroszone, żeby chronić się przed zimnem, mieszkanie najwyraźniej stało na ogół puste. Duży pokój – ciepły i jasny, widok z okna sięgał zaskakująco daleko. Nad sosnami i świerkami, niską zabudową, ogrodami zimowymi aż do katedry. Przez cały luty trzymałam swoje rzeczy w walizce.

Otworzyłam ją, przesunęłam w kąt sypialni, wypakowałam jednak książki, angielską herbatę w torebkach, pudełko z dokumentami dziadka i niepozorne, ale ważne rzeczy, które chciałam mieć na biurku; przez cały tydzień nie opuszczało mnie poczucie, że być może przyjdzie mi w pośpiechu wyjechać, zostawiłam więc walizkę tak, jak była. Ułożyłam książki na szerokim parapecie, a nad biurkiem powiesiłam zdjęcie, które wzięłam z berlińskiego gabinetu, ramkę z fotografią mamy, szczęśliwej, nastoletniej, w dniu konfirmacji. W Berlinie to zdjęcie było tylko jednym z wielu, na pustej białej ścianie radomskiego mieszkania przeszło natomiast drastyczną przemianę. O ile w Berlinie przedstawiało głównie mamę, o tyle w Radomiu pokazywało mamę i jej rodzinę, na te okoliczności zwracałam dotąd zadziwiająco mało uwagi. Teraz przede wszystkim widziałam na nim, i to w dodatku po raz pierwszy, dziadka. Za mamą. Dłonie położył lekko na jej wąskich ramionach. Mama jest ubrana w odświętną sukienkę z haftowanym kołnierzykiem, dziadek – w garnitur, a domykająca zdjęcie, nieznana mi osoba poczyniła właśnie uwagę, która wszystkich rozbawiła. Babcia patrzy w górę na dziadka z wyraźnie czułym, dumnym oddaniem. Rodzina jest ze sobą połączona, starszy brat mamy trzyma lewą rękę siostry, średni – prawą, obaj uśmiechają się promiennie i śmiało do obiektywu. Dziadek, piętnaście lat po wojnie, jest uderzająco obecny. Uśmiecha się powściągliwie. On jeden nie pokazuje zębów. Jak to rodzeństwo, jak więc mama mogła obstawać przy tym, że nie znała swojego ojca.

W Radomiu chodziłam po mieście, każdego popołudnia i każdego dnia zapuszczając się trochę dalej. Chciałam dowiedzieć się czegoś o tym roku, w którym dziadek tu przyjechał; założyłam, że miasto na mnie czeka i teraz w jakiś cudowny sposób wskaże mi niezbędne kroki, podyktuje je po kolei, nic takiego się jednak nie stało, wyszłam więc z domu i sama udałam się na poszukiwania czegoś, choć nie wiedziałam, czego dokładnie. Luty był mroźny, późno robiło

się jasno, wcześniej zapadał zmierzch, ubrałam się ciepło i ruszyłam do parku, który widziałam z okien, do Parku imienia Tadeusza Kościuszki. Przeszłam przez niego do placu Antonia Corazziego, potem ulicą Żeromskiego do Wałowej, a Wałową na rynek i położone za nią tereny przemysłowe, na nieużytki, potem szerokim łukiem udałam się w drogę powrotną. Wypiłam kawę w *kawiarni*, zanim jeszcze ściągnęłam czapkę i zdjęłam płaszcz, kelnerka spróbowała wcisnąć mi w ręce anglojęzyczną kartę, po niemiecku poprosiłam o polską wersję, spierałyśmy się, aż w końcu niechętnie ustąpiła, a ja zamówiłam coś, co na szczęście okazało się cynamonką. Siedziałam przy oknie i patrzyłam na ulicę Żeromskiego, na niemieckich żołnierzy wkraczających do Polski – tak dawno temu, a zarazem jakby wczoraj – zdemontowane tablice, miejskie place i ulice nazwane imieniem powstańców, architektów, pisarzy przemianowane na Adolf-Hitler-Platz, Pappelallee czy Lindenstraße; faktycznie udało się tego dokonać, później jednak Polacy cofnęli te wszystkie decyzje, miejmy nadzieję, że już na zawsze. W tej kawiarni z widokiem na piękny eklektyczny Pałac Karszów, kościół garnizonowy Świętego Stanisława Biskupa i klasycystyczny Pałac Kierzkowskich czytałam *Die Unfähigkeit zu trauern* (*Niezdolność do żałoby*) Mitscherlichów. „Zaprzeczanie to mechanizm obronny, który odnosi się do uciążliwej percepcji zewnętrznej rzeczywistości, uciążliwa oznacza, że taka percepcja wywołuje niechęć. Wyparcie dotyczy impulsu popędowego percepcji, która wzbudza niechęć, ale potocznie bywa stosowane nieprecyzyjnie do wszelkich prób ulżenia sobie po uciążliwych doświadczeniach”, uzbrojona w ołówek robię notatki, podkreślam jedno zdanie po drugim. „Musimy pogodzić się z mnogością systemów porządkowych ludzkiego zachowania, to historyczny przymus, który pozostaje nam zaakceptować, ślepy gniew, porządki na Wschodzie i Zachodzie ewoluują wraz z nim, wskazuje on na potężną nadwyżkę agresywnych impulsów, która tak jak w epoce wypraw krzyżowych wykrystalizowała się z własnego obszaru kultury”, zaznaczam.

Czułam się tak, jakbym patrzyła na siebie z zewnątrz.

Jakbym była sztukmistrzynią, a zarazem w pewien sposób odtwórczynią samej siebie. Błada Niemka w wełnianym swetrze i z ogrzewaczem na nadgarstki przy stoliku *kawiarni* w Radomiu, w Polsce, osiemdziesiąt lat po zakończeniu wojny, w okularach do czytania na nosie i zapisująca to tu, to tam komentarze ołówkiem w książce Mitscherlichów, obraz zdecydowanie niepokojący, jeśli nie kompletnie idiotyczny, zamierałam go jednak znieść. Czytałabym tę książkę także w tym mieszkaniu, czytałabym ją w Berlinie lub gdziekolwiek indziej, w zasadzie w ogóle od dawna mogłam mieć ją już przeczytaną, ale było inaczej. Czytałam ją w Radomiu. Nie pojechałam tam jednak po to, żeby czytać Mitscherlichów. Tak po prostu wyszło i kelnerka też na to nie zważała, oszczędziła tę książkę i oszczędziła mnie, drożdżówka była mlecznobiała

i słodka, kawa tak mocna, że dostałam ekstatycznych palpacji serca, w *kawiarni* było ciepło, i o dziwo nigdy nie grała tam muzyka, chodziłam do niej wielokrotnie, zawsze z Mitscherlichami.

W domu, w mieszkaniu przy Waryńskiego, nazwanej tak na cześć założyciela pierwszej polskiej partii robotniczej, czytałam Babla. Bunina. Przywiozłam ze sobą do Polski małą, chaotyczną bibliotekę, intuicyjny i przytłaczający wybór książek, które mniej lub bardziej przypadkowo wpadły mi w drżące ręce w berlińskim mieszkaniu, spakowałam je, jak leciało, te książki same mi się narzuciły lub do mnie dołączyły, oddały się w moje ręce. *Niemiecka jesień* Dagermana, *Przyjechała z Mariupola* Wodin, *Dolina Issy* Miłosza. Czy powinnam czytać w Radomiu inne książki, spróbować innej kolejności. Może coś bardziej współczesnego, tak zwane nowości, nowe idee, w tych wszystkich krajach minęły już dekady, a wciąż trwała wojna, wojna się przesunęła, przeciągnęła, zasiedziała, ale skończyć się, to się nie skończyła. Mojego nieporęcznego wyboru nie dało się zmienić. Czytałam *W przyszłym roku w Jeruzalem* Kamińskiego, książkę, która gdzieś od połowy niesamowicie mnie denerwowała, potem *9 bram* Langer'a i *Urząd mojego ojca* Singera, czytałam *Pornografię* Gombrowicza i *Ferdydurke* i dzisiaj się zastanawiam, czy takie czytanie, abstrahując od wyboru, wypierania i zaprzeczenia, nie było nadzwyczaj kompulsywne. Przerwałam je. Potem przeszłam do *Der Sportreporter* (*Dziennikarza sportowego*), Ford także towarzyszył mi w podróży do Radomia, a potem *Miguel Street* Naipaula i to okazało się kojącą lekturą, w której stolarz hen daleko w trynidadzkim Port of Spain, nad Zatoką Paria buduje coś, co zupełnie nie chce przyjąć żadnej formy, nazywa to „rzeczą bez nazwy”, podkreślam to, potem idzie mi już lepiej.

Czytam wiersze. W tomiku wersy: „co można wyrazić nic nie można wyrazić ogień pod fajerką Nasti smaży naleśniki”, czytając te słowa, wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, jak mężczyzna w niebieskim dresie ciągnie wózek z butlami z gazem po wyłożonej płytami drodze między domami, kobieta w szlafroku i puchatych śniegowcach karmi stadko grubych dzikich kotów, słyszałam bicie dzwonów kościelnych, rozbrzmiewało niepojęcie długo. Siedziałam, z głową podpartą rękami, przy biurku i spoglądałam na katedrę, potem wstałam, odeszłam jak najdalej od biurka, zajęłam się czymś innym.

Wyszłam. Zajrzałam do wyładowanego towarem sklepiku w budynku po drugiej stronie ulicy i kupiłam olej lniany, twaróg, kiszzone ogórki z beczki, wzięłam też koperek, nierówne ogórki, chrzan, jabłka z zeszłego roku. Jadłam przy stole pośrodku pokoju i oglądałam przy tym na laptopie niemieckie wiadomości z minionego dnia. Internet był zablokowany, nie dało się obejrzeć aktualnych, wpadłam w pętlę czasu odpowiadającą stanowi rzeczy. Wiadomości nic się nie zmieniały, zawieszenia broni niezwłocznie łamano, każdego dnia pojawiała się nowe

pole minowe, miasto obrócone w gruz i pył, przelatujące przez granice drony, wciąż ten sam krajobraz ruin, o którym widziałam, co jeszcze wczoraj tam było, zakładałam, co będzie tam jutro, było to zbyt proste, ale cóż, tak już było.